

Nazywam się Leonarda Sokołowska z domu Gryz. Urodziłam się we Lwowie I VI 1923 r. Razem z matką Marią z domu Winiarska i ojcem Franciszkiem mieszkałam w dużej willi, wykończonej przed wojną, na Bogdanówce, przy ulicy Prostej 2I. Była to I-piętrowa willa, nowoczesna, z weneckimi oknami. W tej willi był także schron, do którego w 1939 r. schodzili się wszyscy sąsiedzi. Dom liczył 9 pokoi. Oprócz nas mieszkali tam także inni policjanci - m.in. dwaj przodownicy policji z rodzinami.

Ojciec - Franciszek Gryz był w policji, do partii politycznych nie należał. Był prawdopodobnie sierżantem bądź starszym sierżantem. Pracował w komisariacie na Gródeckiej, jego obwód znajdował się w okolicy kościoła św. Elżbiety. Miał bardzo ładne pismo, zajmował się więc m.in. spisywaniem różnych protokołów. Moja mama nie pracowała, zajmowała się domem.

Miałam starszą siostrę Helenę. Przed wojną siostra chodziła do czwartej gimnazjalnej w gimnazjum św. Elżbiety. Ja chodziłam do trzeciej gimnazjalnej na ul. Zieloną - do szkoły (technikum?) krawieckiej.

Z września 1939 r. pamiętam tylko mocne bombardowania, w czasie których musieliśmy się chować do schronów. Takie schrony były wykopane nawet na naszym podwórku. Po jednym z bombardowań wyjechaliśmy na wieś niedaleko poza Lwów i tam spotkała nas Armia Czerwona.

Jechały czołgi i czołgi... żołnierze chodzili po wioskach. Po jakimś czasie wróciliśmy do Lwowa, do domu. We Lwowie szło się po gruzach, wszędzie pełno naboju, zwierząt, pozdychanych, pozabijanych koni, gdzieś - niegdzie były także ludzkie szczątki.

Ojciec zaczął pracować przy cięciu i piłowaniu drewna. Zarabiał przy tym grosze. Matka nadal nie pracowała. My z siostrą chodziłyśmy jeszcze do szkoły. Klasy już przerobili na system rosyjski - na siódme, ósme. Na szczęście mieliśmy ogród tak więc były swoje ziemniaki, swoje pomidory - jarzyny.

Przed wywózką w kwietniu 1940 r. były robione jakieś spisy. Mojego ojca wołali na komisariat i mówili mu, że skoro umie po niemiecku, to dlaczego nie wyjeżdża do Niemiec. Ojciec na to odpowiedział, że jest Polakiem i w Polsce żyje. Dzięki temu mieli listy sporządzone do tej wywózk.

Z 10 na 11 kwietnia aresztowali wszystkich mężczyzn. W nocy - gdzieś około 12-1 godziny - zapukali do drzwi, weszli i kazali się ojcu ubierać. Jeden z policjantów mieszkających u nas w domu - Bobrowski - uciekł. Z ojcem zostali zabrani m.in. Pagacz, Tomaszewski, Kaczmarek i dużo innych. Byli to policjanci z naszego domu (jeden) i sąsiedzi z ulicy. Na drugi dzień chodziliśmy po więzieniach i pytaliśmy się, gdzie są ci aresztowani. Wszędzie kłamali i mówili, że nie było żadnego aresztowania i nikogo nie aresztowali.

Za dwa dni w nocy nas wzięli. Było ich kilku. Furmanki były już przygotowane. Kazali się zabierać. Nie mówili dokąd wyjeżdżamy, nie mówili, co zabierać. Stali nad nami, nie dali nam się spakować, byliśmy prawie bez bagażu. Wszyscy byli zrozpaczeni, że z domu musimy wychodzić. Nikomu w głowie nawet nie było, żeby cokolwiek zabierać. Na podwodach spotkaliśmy sąsiadów - rodziny Pagacza (dwie dziewczyny) Tomaszewskiego (dwie dziewczynki) Kaczmarka (dziewczynka i chłopiec, który później dostał się do armii Andersa i zginął nad Londynem jako lotnik)

Zawiezino nas na dworzec główny, na bocznice, gdzie stały wszystkie transporty. Było tam sześć transportów.

Jechaliśmy w bydłowych, zamkniętych wagonach, wszędzie na początku i na końcu żołnierz z karabinem. Wewnątrz wagonu zabudowane były prycze, zamiast toalety dziura w podłodze, nie było nawet pieca, a to był przecież kwiecień i było zimno.

Podróż była straszna - dniami staliśmy, a nocą pociąg strasznie pędził. W dzień gdzieś tam pozwalali wody zaczerpnąć - pozwalali dwum - trzem

osobom iść pod eskortą do pompy. Nie było zresztą specjalnie co gotować, bo nikt prawie nic nie miał, głodowało się przez cały czas, a nie dawali nam przez cały okres podróży jedzenia. W wagonie panowała straszna rozpacz, każdy zostawił swój dobytek, zmartwienie o ojców, o wszystkich krewnych. Jechaliśmy tak cały miesiąc.

Zawiezi^eno nas w pusty step. Najpierw pociągiem do jakiejś miejscowości, gdzie stały wozy zaprzężone w woły i tymi wozami wywieźli nas do kołchozu. W kołchozie wrzucili nas do jakiejś małej izdebki - około 30-40 osób. Miejscowi - Kazachowie i jakieś Mongoły wyszli i patrzyli się na nas. Moja matka i inne matki strasznie krzyczały zrozpaczone, przeobraźliwie, gdzie one się znalazły. Na podłodze, właściwie na glinie wszyscy położyli się pokotem.

Była tam straszna bieda, wręcz nędza. Matki chodziły do NKWD, żeby nas dali gdzie indziej, gdzie żyć można. Później, po kilku dniach przyjechały podwozy i zabrały nas do takiej "toczki" w góry Ałtaju (toczka - to takie miejsce otoczone górami). Tam gdzieś w pobliżu wydobywali złoto. Były tam trzy chatki Kazachów i trzy chatki z kamienia wolne.

Były tam same kobiety z dziećmi - 5-6 rodzin. W kołchozie zostało kilku mężczyzn, którzy jechali ze swoimi rodzinami w transporcie. W tej toczce kopaliśmy nawóz. Pewnego razu kopając nawóz usłyszałyśmy polskie pieśni śpiewane przez młodych mężczyzn, wyphywające gdzieś z gór. Zasłuchałyśmy się i jednocześnie zastanawiałyśmy się, kto to może być? Raptem widzimy, że z gór schodzi trzech mężczyzn. Byli to Polacy z Wileńszczyzny - młodzi, prawie chłopcy. Powiedzieli, że usłyszeli, że przyjechali Polacy, więc przyszli tutaj nas odwiedzić. Pracowali w kopalniach złota. Porozmawiali z nami, pocieszyli nas, że są blisko. My też kilka razy chodziłyśmy do nich przez te wysokie góry. Pilnował nas tam stary Kazach. Gdy pewnego razu dziewczyny wracając spóźniły się, dopytywał się, czy "diewuszki udrali?". Gdy przyszły dopiero

uspokoił się.

W tej toczce nie dostawałyśmy żadnego wynagrodzenia za pracę, tylko trochę chleba i troszeczkę cukru, co było luksusem wtenczas. Mieszkałyśmy w gliniankach, podłogi były też gliniane, smarowane kiziakiem. Obok były takie baraki, w których były owce i tam właśnie kopałyśmy ten nawóz, układałyśmy w sterty. Później ten nawóz wywozili bo tym się paliło.

Na zimę 1940/41 r. przewieźli nas do sowchozu. Tam były trochę lepsze warunki, bo tam można było pracować. Były poza tym ogrody, w których uprawiano pomidory, ziemniaki. Gdy szliśmy w pole, to można było sobie coś urwać i zjeść - nie wolno było, ale jak człowiek był głodny... W polu można było poza tym upiec jakieś ziemniaki.

W sowchozie pracowało mało Polaków. Część kobiet z dziećmi siedziało w domach. Kontakt ze światem był, dostawaliśmy listy ze Lwowa, pisali nasi koledzy. Niektórzy dostawali nawet paczki. My nie dostaliśmy żadnej paczki, ale moja nauczycielka p. Szymańska przysłała mi 20 rubli. Niektórzy mieli jakieś złoto, coś zabrali z domu i tam sprzedawali.

W sowchozie jako tako przeżyliśmy, bo w kołchozie ludzie strasznie głodowali. W sowchozie spotkaliśmy Polaka Mieczysława Skrzyżewskiego, który pracował w biurze i zawsze nam pomagał. Mówił: "nie martwcie się ja wam dobrze zarobki policzę, żebyście nie byli pokrzywdzeni".

Dostawałyśmy za pracę kawałek kretonu lub herbatę, z którymi szło się później do Kazachów i wymieniało się na trochę mąki lub trochę kartofli.

Sowchoz ten nazywał się Agdyndek. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, po amnestii zaczęli tam przyjeżdżać więźniowie wypuszczeni z więzień sowieckich m.in. p. Tomaszewski, a potem wrócił drugi, którego nazwiska nie pamiętam. My nie mieliśmy żadnych wiadomości o losie ojca. Tylko do mojej babci (ze strony matki), mieszkającej

na Zagajniku koło Białohorszczy ojciec napisał na pudełku zapalek, że ich wywożą do Rosji.

Po amnestii mogliśmy z sowchozu wyjeżdżać. Zorganizowaliśmy się więc, żeby pojechać do większych skupisk polskich, bo w sowchozie było tylko około 30 Polaków. W pobliżu, w kołchozach było dużo Polaków, którzy przychodzili do nas i prosili o kawałek chleba, bo tam w kołchozie było bardzo źle. Pomagaliśmy tym ludziom.

Ponieważ nie mieliśmy pieniędzy, nie było u nas ojca, więc wybrałyśmy się tylko do Semipałatyńska. Tam był punkt zborny Polaków, było tam przeszło, dwa tysiące Polaków. Ci z wojska i policji, którzy mieli tu swoje rodziny, przyjeżdżali po nie i zabierali na południe, żeby wydostać się za granicę. My już też byłyśmy wpisane na listę, ale nam się nie udało, bo zamknęli granicę. Musiałyśmy więc pozostać jeszcze przez trzy lata w Żanasimej, przedmieściu Semipałatyńska, po drugiej stronie rzeki Irtysz.

Przyjechałyśmy do Semipałatyńska w 1942 r.. Tam mieliśmy już pomoc z darów amerykańskich, którą rozdzielano w specjalnych punktach. Z darów amerykańskich dostałyśmy trochę odzieży. Przynajmniej nas ubrano, bo wcześniej to brało się po prostu worki do cukru, z lnu, które wybielało się na słońcu i z tego szyło się spódniczki. Nawet dobrze się w tym chodziło,

W Semipałatyńsku pracowałyśmy początkowo tylko w artelu. Szyłyśmy tam ze skórek czapki z nausznikami. Później robiło się przede wszystkim swetry i handlowało się swetrami. W Semipałatyńsku była m.in. fabryka wełny, z której robiono szynele i ta wełna drogą niewłaściwą stamtąd wypływała. My z tej włóczki robiłyśmy pończochy, skarpetki, płaszczyki szaliki, czapki, swetry, co tylko się dało. Od małych dzieci polskich wszyscy robili. Najpierw zaopatrzyłyśmy Semipałatyńsk- cały był w to ubrany, później przyjeżdżali i handlowali nimi kolejarze rosyjscy. Skupowali te swetry i wieźli je dalej, żeby sprzedać. Dzięki temu nasze

życie było już znośniejsze, choć głód był w dalszym ciągu. Nie było np. chleba. Stało się do dwunastej, pierwszej w nocy, żeby ten kawałek , ówiartkę chleba-swój przydział dostać. Ale można było też choć trochę mleka kupić.

W Semipałatyńsku wybuchła straszna epidemia tyfusu. Dobrze może, że nie pojechałyśmy na to południe, bo tam strasznie dziesiątkowały choroby zakaźne, ale u nas także dziesiątkował tyfus. Ja sama chorowałam na tyfus, tylko że byłam szczepiona, więc jakoś przeleżałam to w domu. Miałam pierwsze objawy tyfusu, byłam nawet na liście "zgonowców", wyznaczyli mi nawet datę, kiedy miałam umrzeć.

Na mocy amnestii został wypuszczony z więzienia ksiądz Fedorowicz. Przyjeżdżał do nas, nocował u nas i w naszym pomieszczeniu odprawiał dla miejscowych Polaków mszę. Zaprowadziliśmy go pod szpital zakaźny. Przed szpitalem chodził ksiądz pod oknami i dawał znak krzyża. Wśród chorych byli m.in. Gańczakowscy i Tomczacy, którzy wcześniej przebywali w kołchozie pod Semipałatyńskiem i którym m.in. dawaliśmy jedzenie. Oni chorowali i zostali wyleczeni. Ja w czasie choroby ~~nie~~ leżałam u siebie nie w szpitalu, miałam 41 stopni gorączki, potem było przesilenie i wyzdrowiałam z tyfusu, ale zapadłam na nerwy i przeżywałam cały czas tę pierwszą chorobę, szczególnie jak widziałam , jak ci ludzie umierają ... Byłam świadkiem, że jakaś matka chodziła do swojej chorej córki i mówiła jej: "dziecko ja cię nie opuszczę" i rzeczywiście umarło to dziecko i jego matka.

Moja mama i siostra nie chorowały na tyfus, ale chorowała m.in. córka państwa, którzy z nami mieszkali.

Mieszkaliśmy w Semipałatyńsku po kilka rodzin (my mieszkaliśmy w trzy rodziny) u Kazachów. Musieliśmy się meldować na NKWD, które miało spisy zesłanych.

Ludzie między sobą żyli bardzo dobrze. Polak z Polakiem był tak zaprzyjaźniony, była taka miłość i takie wsparcie, jeden z drugim dzielił

się wszystkim. Ale trzeba też powiedzieć o ^o Kzachach, obcych ludziach że byli bardzo przyjaźnie nastawieni do Polaków. Byli bardzo gościnni ale też nic nie mieli, bo to i wojna, głód - tak samo cierpieli jak ^Ymy, ale byli bardzo dobrze ustosunkowani do nas.

Natomiast NKWDziści, gdy przyjechaliśmy mówili do nas : "albo proźiwiotie, albo podochniotie". W każdym razie nie było ani słowa, powiedziane, że kiedyś wrócimy do Polski.

Nastawienie władz sowieckich po 1943 r. zmieniło się, zaczęto nas trochę lepiej ^a traktować. Tam, gdzie byliśmy ^Ynie było dużo Rosjan, z władzami sowieckimi nie mieliśmy dużego kontaktu. W artelu, gdzie pracowaliśmy, kierowali nami Żydzi z Odessy, którzy uciekli przed frontem. Stosunek ich do nas był zupełnie dobry. Spośród zesłanych najwięcej było ze Stanisławowa i Lwowa. Było również dużo Białorusinów np. z Polesia, byli poza tym ~~polscy~~ Żydzi, którzy przeważnie nie pracowali fizycznie, ale w jakichś biurach, zawsze w jakichś urzędach.

W 1944 r. słyszeliśmy, że była wywózka, ale mieli to być ludzie, którzy współpracowali z Niemcami. Działała w Semipałatyńsku organizacja ZPP. Niektórzy się wpisywali, niektórzy nie, my byłyśmy z siostrą młodą, więc nigdzie się nie wpisywałyśmy. My chodziłyśmy wtedy do szkoły chciałyśmy się czegoś nauczyć, zdobyć jakiś zawód, bo wtedy myślałyśmy już o powrocie do Polski. W Semipałatyńsku utworzyła się wtedy polska szkoła, w której uczyła się polska młodzież. Byli tam wybitni profesorowie Polacy. Dyrektorem była p. Wróbel, a jedna z nauczycielek p. Sarnecka. Odbyły się tam nawet matury.

9 V 1945 r. wiadomość o zakończeniu wojny spotkała mnie w momencie, gdy siedziałam pod murkiem i robiłam sweter. Po zakończeniu wojny wszyscy byli w bardzo wielkiej radości, że jednak wrócimy. Stale pytaliśmy się, kiedy będą transporty, już nas spisywali, więc było nam różniej.

Wyjazd nasz nastąpił w maju 1946 r.. Dali nam furmanki, którymi

podwieźli nas do transportu. Mieliśmy z sobą worki z chlebem ususzonym, który dali nam wcześniej, żebyśmy sobie ususzili na drogę. Z Semipalatynska jechało nas pociągiem około dwa tysiące. Był to pierwszy i ostatni transport stamtąd. Jechaliśmy wszyscy razem. To, że wcześniej nie wyjechaliśmy tłumaczono wojną, brakiem transportu, tym, że trzeba wszystko przygotować, spisać.

Jechaliśmy do Polski także w wagonach bydłowych - takich samych jak w 1940 r., tylko z inną nadzieją. Prócz tego chleba, który nam przydzielono wcześniej, żebyśmy sobie ususzili na drogę, nic więcej do jedzenia nam nie dawano.

Podróż trwała miesiąc. W momencie wsiadania panowała ogromna radość a tu, gdy dojeżdżaliśmy do Lublina miejscowi ludzie, chcieli nasz transport wysadzić w powietrze, bo mówili, że to nie Polacy jadą, ale myśmy zawsze wieczorem modlili się i śpiewali pobożne pieśni, więc przekonali się, że to nie Rosjanie ani Żydzi, ale Polacy jadą. Z nami jechało sporo Żydów, ale w Łodzi przyszły komisje żydowskie, które brały młodzież żydowską do Palestyny i Żydzi wysiedli, a my jechaliśmy dalej na Szczecin. My wysiadliśmy wcześniej z transportu i pojechaliśmy do Krakowa. Tam osiedliły się moja siostra i matka, a ja wyjechałam w 1943 r. do Wrocławia, bo w Krakowie nie było ani mieszkania, ani pracy dla mnie.

Nie znam losów mojego ojca - w spisie pomordowanych w Ostaszkowie znalazłam nazwisko przekręcone mojego ojca - zgadzała się data urodzenia...

Wyjazd pociągami

i Spisar: Gregor Huxink

W dyspozycji Smalle - 10 fot. z Łessania i Gwotachno ręką pobję - Semipalatynsk